

JAN NIECISŁAW BAUDOUIN DE
COURTENAY

**Krzewiciele
zdziczenia**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JAN NIECISŁAW BAUDOUIN DE COURTENAY

Krzewiciele zdziczenia

Artykuł ten przeznaczyłem pierwotnie do warszawskiego „Ogniwa”. Niestety, jak to mówią Niemcy, robiłem rachunek bez karczmarza. Zapomniałem bowiem o zawodowych i urzędowych mordcach rytualnych wolnej myśli ludzkiej. Mnie samemu zdawało się, że w artykule niema nic gorszego i obrażającego kogokolwiek bądź lub cokolwiek bądź; bystre jednak oko znawcy serc ludzkich wykryło całe ustępy niemożliwe ze stanowiska „bojaźni bożej” i nieposzlakowanej „prawomyślności”. Wskutek tego tylko początek mego artykułu mógł się ukazać w Nrze I-szym „Ogniwa” z r. 1904, chociaż i tu już wyrzucano dwa dość znaczne ustępy. Następnie pan cenzor usuwał nietylko wyrazy, wyrażenia i ustępy, ale nawet całe szpalty przeszło stuwierszowe. Nie ulega wątpliwości, że dzięki tym operacjom artykuł mój nabral cech niewinności i „przyzwoitości”, obowiązującej, zdaniem cenzorów, każdego piszącego. Redakcja jednak nie mogła karmić czytelników resztkami i ochłapami, między którymi nie byłoby prawie żadnego związku; musiała więc, pod naciskiem siły wyższej (*vis major*), wstrzymać druk artykułu i zwrócić mi rękopis.

Nie pozostaje mi nic innego, jak z całej duszy podziękować p. cenzorowi za jego pieczołowitość i za jego usiłowania w przyuczaniu mię do szarego i bezbarwnego sposobu pisania. Ażeby zaś wiedziano i później, jacy to troskliwcy gospodarowali wszechwładnie w pewnej części Europy środkowej na początku wieku XX-go, postanowiłem wydrukować artykuł tam, dokąd już nie sięga ręka miłych opiekunów. Przy tym wskazuję dokładnie i szczegółowo wszystkie miejsca i ustępy, wyrzucone przez cenzora.

Pragnąłbym „unieśmiertelnić” także imię mego troskliwego opiekuna. Nie czynię tego jednak, ponieważ najprzód to znaczne imię tak jakby nie doszło do mej wiadomości, a powtóre nie chciałbym obrażać skromności tego męża, która z pewnością dorównywa jego bezinteresownej dbałości o dobro publiczne. Tyle tylko pewna, że jestto cenzor z przekonania, cenzor z „bożej łaski”.

A może dostojnik ten, jako przedstawiciel uprzywilejowanej „białej rasy”, zaliczył mię do „żółtych”, których należy dusić z taką samą bezwzględną „rycerskością”, z jaką jego współrasowcy pod względem „białości” i grubości skóry urządzają pochody przeciw innym „rasom” we Wrześni, w Poznaniu, w Błagowieszczeńsku, w Afryce, w Krozach, w Kiszyniewie, w Armenji, w Finlandji, w „Priwislinji”, w Chinach, na Filipinach, na Sumatrze, w Petersburgu i... gdzie się zdarzy.

I

Wymawiając lub też tylko uświadamiając sobie wyraz *zdziczenie*, myślimy oczywiście, że coś nie-dzikiego staje się dzikim. Ja jednak biorę tu ten wyraz w nieco obszerniejszym znaczeniu, kojarząc go nietylko z przejściem ze stanu nie-dzikości do stanu dzikości, ale także ze zwiększaniem i potężnieniem już istniejącej dzikości. Tak więc krzewi zdziczenie nietylko ten, kto człowieka nie-dzikiego przeobraża w dzikiego, ale także ten, kto współdziała rozrastaniu się i utrwalaniu się istniejących już zarodków lub objawów dzikości.

Co to jest jednak dzikość w różnicy od nie-dzikości?

Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie.

W swych *Mysłach nieoportunistycznych* (Kraków, 1898) umieściłem między innymi następujący aforyzm (Nr. 101):

„Jeśli istnieje rzeczywisty postęp w życiu ludzkości, to czy nie dałoby się ująć go w formule, że jest on powolnym przejściem od stanu *stadowo-egoistycznego* do stanu *społeczno-indywidualnego*?”

W formule tej zawiera się, zdaniem moim, także częściowe określenie stopniowego zmniejszania się dzikości, jakie daje się zauważyć w dziejach doskonalącego się rodu ludzkiego. Egoizm w swych grubych, brutalnych objawach jest czynnikiem stanowczo antysocjalnym czyli przeciw-społecznym. Życie stadowe, czy to całkiem luźne, czy to nawet choćby zorganizowane, uniemożliwia a przynajmniej nader utrudnia rozwój indywidualny jednostek. Jedynie tylko prawdziwy indywidualizm, jako coraz bardziej uświadamiający się rozwój wewnętrzny osobników, rozwój, połączony z krytyczną oceną i zrozumieniem stosunku własnego *ja* do innych osobników, jedynie tylko prawdziwy indywidualizm daje się pogodzić z wszechstronnym życiem społecznym, nie-stadowym. Społeczeństwem, w tym wyższym znaczeniu tego wyrazu, możemy nazwać tylko stowarzyszenie, albo dobrowolne, albo też, chociaż niezależne od woli jednostek, to jednak sprowadzające despotyzm większości w sferze wierzeń i przekonań do możliwego *minimum*, a natomiast znajdujące w pracy wspólnej czyli w kooperacji prawdziwą rękojmę stworzenia *maximum* dobrobytu tak dla ogółu, jak i dla pojedynczych członków.

Stadowość społeczna czyli stado zamiast społeczeństwa, oraz kierowanie się jednostek pobudkami czysto egoistycznymi na krótką metę charakteryzują stan dzikości; w miarę zaś oddalania się od tego stanu dzikości powstaje prawdziwa społeczność ludzka czyli uświadomienie społeczne, a jednocześnie potężniejsza indywidualność. W każdym razie tak się ma dzikość do nie-dzikości, jak się ma stado do społeczeństwa, lub też jak osobnik impulsywnie egoistyczny do osobnika indywidualnie wyrobionego.

Znamy gromady ludzkie, żyjące wyłącznie życiem stadowym, bez uświadomienia społecznego. Znamy również, nawet w społeczeństwach częściowo uświadomionych, osobniki bezwzględnie dzikie, t. j. kierujące się tylko chwilowymi bodźcami egoistycznymi. Niema zaś i dotychczas nigdzie nie było gromad ludzkich, żyjących jedynie uświadomionym życiem społecznym, z zupełnym usunięciem dzikości; niema również, nawet w społeczeństwach najbardziej „ucywilizowanych” czyli najmniej dzikich, osobników nieskazitelnie wyindywidualizowanych i etycznie uświadomionych, t. j. nie mogących w pewnych warunkach stać się dzikimi.

Nawet w społeczeństwach najnowszej formacji, w społeczeństwach niby to najbardziej oddalonych od stanu dzikości, istnieją stale i nieprzerwanie instytucje, korporacje i zwyczaje, zięjące dzikością i barbarzyństwem, zniżające ludzkość do stanu przedczłowieczego (jeżeli „człowieczeństwo” i „ludzkość” weźmiemy chwilowo w szlachetnym znaczeniu tych wyrazów). W każdym zaś człowieku, choćby nawet najwyżej posuniętym pod względem umysłowym i moralnym, drzemią dzikie instynkta, które przy sprzyjających okolicznościach wybuchają z niepohamowaną siłą i sprowadzają „śmietankę” inteligencji i „pana stworzenia” do stanu wścieklej bestji dwunogiej.

Do rzędu osobników bezwzględnie dzikich, t. j. kierujących się jedynie przemijającymi lub też od czasu do czasu, mniej więcej perjodycznie powracającymi pobudkami egoistycznymi, należą przedewszystkim „typy okrutne i krwiożercze”, których charakterystyką zajmuje się p. L. Krzywicki w kilku ostatnich numerach „Ogniwa” z r. 1903. Dalej należą tu: ludzie, uznani urzędowo za obłąkanych, oraz wszelkiego rodzaju zwyrodnialcy i gniłosze, chociażby nawet podniesieni do rangi „nadludzi”. Kadry tej ostatniej kategorii bywają zasilane także przez tych artystów i poetów, u których wyuzdany impresjonizm i wybuchowość stanowią główne motywy tworzenia.

Dzikość częściowa może być właściwą nawet indywidualności, stojącym bardzo wysoko pod względem umysłowym, kulturalnym i etycznym. Tak np. idzie ona w parze z niekonsekwencją, z brakiem poczucia, że się jest obowiązany wyciągać wnioski praktyczne ze swych przekonań teoretycznych, że w tej przedewszystkim sferze *noblesse oblige*. Cechą niezbędną nie-dzikości jest tu zgodność ze sobą, jest całkowitość i jednolitość natury, jest zgodność postępowania z przekonaniami. Uczony, choćby nawet o najpotężniejszej umysłowości, jeżeli jednocześnie jest szowinistą i bierze udział w prześladowaniu i tępieniu kogokolwiek bądź, musi być uważany za dzikiego.

Dzikość społeczeństwa podtrzymują wszelkie instytucje, dążące do krwi przelewu, do rozbudzania nienawiści, instytucje, oparte na obłądździe wielkości i na obłądździe prześladowczym, instytucje, które postawiły sobie za zadanie tłumienie i zabijanie indywidualności, zawodowe i urocyste wykonywanie zemsty, pozbawianie życia i wolności.

Jeszcze nie tak dawno¹ my, „cywilizowani Europejczycy”, paliliśmy czarownice, torturowaliśmy legalnie, a dziś ze zdwojoną siłą prześladowujemy ludzi tak za ich przekonania, jakoteż za ich pochodzenie, za ich przynależność do tej lub owej narodowości, do tego lub owego wyznania. Czyż to nie dzikość i „dzikość” we wszelkich znaczeniach tego wyrazu?

W historii stopniowego przechodzenia gromad ludzkich od stanu dzikości do względnej nie-dzikości możemy rozróżnić trzy główne fazy rozwoju:

1) Dzikość bezwzględna, bez żadnej organizacji, bez żadnej tresury, a co najwyżej bandy chwilowo formowane i luźne stada bestji dwunogich.

2) Dzikość uorganizowana, gdzie jeden chwytta innych za łeb, a inni mu się poddają. Pewne masy ludzkie zastygły w tym stanie; są to tłumy, dla których jedynym hamulcem jest strach i kara, czy to w obecnym, czy też w przyszłym życiu, tłumy, wyobrażające ze siebie trzodę z pastuchem.

3) Na tle dzikości uorganizowanej powstają tu i ówdzie wolne i dobrowolne związki, związki, oparte na spotężnieniu indywidualizmu jednostek, na ułogicznieniu myślenia, idącego ręką w rękę ze wzrostem poczucia sprawiedliwości, oraz na uświadomieniu rozumnego stosunku jednostki do grupy uspołecznionej.

W pierwszej dobie rozwoju, w stanie dzikości bezwzględnej technika i przemysł mogą się rozwijać tylko zarodkowo. Natomiast w fazie dzikości uorganizowanej technika, przemysł i wogóle wytwórczość ekonomiczna mogą dochodzić w coraz szybszym tempie do najwyższego stopnia doskonałości, a pomimo to, skierowując się w stronę gnębienia, tłumienia, tępienia, podtrzymywania niesprawiedliwości społecznej oraz nienawiści międzyplemiennej i międzywyznaniowej, godzić się wyśmienicie z dzikością myślenia i woli. Jeżeli najnowsze środki komunikacji² służą do ułatwiania „pielgrzymek” bałwochwalczych, jeżeli najnowsze metody szkolne bywają użytkowywane do ubierania całych gromad ludzkich w jednostajny mundur stadowych wierzeń i „przekonań”, toć jestto chyba nadużywanie techniki i wynalazków w celu podtrzymywania dzikości.

Nieda się zaprzeczyć, że i w tej sferze, w sferze najbardziej zaniedbanej i pozostającej gdzieś daleko w tyle poza rozwojem techniki, to jest w sferze myślenia i etyki, ludzkość postępuje, ale postęp ten odbywa się gzygzakami: zrobiwszy dwa kroki naprzód, cofamy się na jeden krok w tył³.

II

Zupełne usunięcie dzikości myśli i woli jest rzeczą niemożliwą, choćby po prostu ze względu na nasze pochodzenie. Jesteśmy dalszym ogniwem przodków dzikich, urządzeń dzikich, wierzeń dzikich. W naszych organizmach fizjologicznych i duchowych tkwią i tkwić muszą, w najdalszych pokoleniach, przeżytki dzikości przodków. Przeżytki te, choćby nawet sprowadzone do stanu zaniku, do *minimum*, tleją w nas jak zarzewie, które, rozdmuchane w odpowiedni sposób, może stać się zarodkiem nowego płomienia.

Przodek ludojad mordował „bliźnich” dla nasycenia głodu, a sam akt żarzynania lub też duszenia sprawiał mu rozkosz realną, rozkosz człowieka, dochodzącego do celu. Potomek ludojada nasyca głód w inny sposób, ale pomimo to dziedziczy on żądzę krwi i mordu, a sam akt pociągania nożem po cudzym gardle lub też dręczenia w jakikolwiek sposób, sama „sztuka dla sztuki”, „ofiara dla ofiary”, może w nim wzbudzać rozkoszne dreszcze kanibala. Człowiek taki staje się albo nie uznanym przez „prawo” mordercą i dusicielem, albo też dobrowolnym katem, a choćby tylko mężem, podpisującym legalnie wyroki śmierci. Kto zaś ani nie ścina, ani nie wiesza własnoręcznie, ani nie podpisuje wyroków śmierci, ten rozkoszuje się prześladowaniem i gnębieniem ludzi innego „stanu”, ludzi, należących do innych narodowości, do innych „wyznań”, ludzi innych „przekonań”, wogóle ludzi inaczej wyglądających, inaczej mówiących i inaczej „myślących”, co oczywiście stanowi zmodyfikowaną i złagodzoną formę dziedzictwa psychicznego po ludojadach.

¹Jeszcze nie tak dawno... — ustęp ten, od „Jeszcze nie tak dawno” do „tego wyrazu?” został wyrzucony przez cenzora. [przypis autorski]

²Jeżeli najnowsze środki komunikacji... — ustęp ten od „Jeżeli najnowsze środki komunikacji” do „podtrzymywania dzikości”, cenzor wyrzucił. [przypis autorski]

³...cofamy się na jeden krok w tył — tyle tylko wydrukowano w „Ogniwie” (Nr. 1. z r. 1904). Następnie złożono dosyć dużo, ale wykreślenia cenzorskie uniemożliwiły drukowanie. [przypis autorski]

Przodek mięsożerny musiał, dla zaspokojenia głodu, własnoręcznie zarzynać i ćwiartować pożerane zwierzę, a uczucie zaspakajania głodu łączyło się oczywiście z błogim uczuciem osiągnięcia celu realnego, a więc z uczuciem niezmiernie przyjemnym. To uczucie przyjemności, doświadczanej przez przodka podczas aktu mordowania zwierząt, przeznaczonych na pożarcie, może drogą dziedziczności przechodzić do najpóźniejszych potomków, którzy, podbudzani przez nie, stają się zawodowymi rzeźnikami, oprawcami, a w najlepszym razie dręczycielami zwierząt. Również w „szlachetnych sportach” myśliwstwa i rybołówstwa amatorskiego znajduje sobie ujście odziedziczona po przodkach krwiożerczość i żądza znęcania się.

Odkrycie ognia i możliwości wydobywania go przez tarcie o siebie twardych szczap drzewa było olbrzymim wypadkiem, napełniającym dusze naszych „dzikich” przodków nieopisaną rozkoszą i wdzięcznością dla „boga Ognia”. Dzisiejszy piroman, czyli podpalacz z popędów wrodzonych, odziedziczył po przodkach ów rozkoszny dreszcz, choć w życiu brak dla niego podstaw realnych. Jeden z profesorów uniwersytetu warszawskiego, dziś już nie żyjący M. K., przyznał mi się, że gdyby nie hamulec wykształcenia i bojaźni kary, namiętnieby podpalał; widok bowiem pożaru napawał go niewysłowioną rozkoszą.

W pierwocinach społecznienia członkowie męscy hord uorganizowanych mogli zaważać kobietami przeważnie tylko za pomocą gwałtu, którego wyobrażenie kojarzyło się z wyobrażeniem pewnego rodzaju rozkoszy. Dziedziczeniem uczuć i wzruszeń w kierunku jednorodności płciowej należy objaśniać ten fakt, że nawet w sferze inteligentnej spotykamy tylu gwałcicieli i znęcających się z amatorstwa nad „płcią słabszą”.

Podobnie, przyjmując taką samą dziedziczność w kierunku jednorodności płciowej, zrozumiemy, dlaczego pewne indywidua płci żeńskiej, pomimo zasadniczego oburzenia i wstrętu do gwałcicieli, doznają jednak pewnej dzikiej przyjemności, ulegając gwałtowi i poniewierce.

W dzisiejszym „kleptomanie”⁴, z nieprzewyciężonym popędem do „przywłaszczania” sobie „cudzej własności”, jako w jednym z ogniw w szeregu dziedziczonych a potęgujących się od czasu do czasu objawów psychiki człowieka „dzikiego”, powtarzają się po prostu wzruszenia i dreszcze, których doznawał jego przodek, kładący za pomocą „rabunku” i „zaboru” pierwsze podwaliny „świętej instytucji własności”.

A zresztą czyż i dziś nie ma już zgłodniałych, czyż nie ma „wydziedziczonych”, czyż nie ma obok nas naszych własnych przodków?

Co więcej, czyż nawet my sami, wzniesieni na „wyższy szczebel” moralności i inteligencji, gdyby nas pozbawiono warunków, umożliwiających „szlachetność” uczuć i „głębokość” myśli, gdyby nas zdegradowano do stanowiska parjasów społecznych, czyż w takich warunkach nie stalibyśmy się własnymi przodkami, kładącymi podwaliny własności, zawziętymi na życie i mienie „bliźnich”?

Zróbmy doświadczenie. Wybierzmy kilku wykwintnych hrabiów i królewiat, miotających gromy na „przewrotowców” i patrzących z pogardą na motłoch „dziki”, bo zgłodniały i pozbawiony chleba powszedniego oświaty i cywilizacji, umieścmy tych paniczów na bezludnej wyspie, lub też puśćmy ich na morze, a bądźmy pewni, że wykwintnisie ci, bez innych środków żywności, zaczną pożerać się wzajemnie, t. j. robić zamachy już nie na własność, ale na życie „bliźniego”. Wogóle praktykowanie „miłości bliźniego”, t. j., mówiąc językiem mniej podniosłym, a bardziej zgodnym z rzeczywistością, dobrowolne niekrzywdzenie innych ludzi, możliwe jest tylko przy jako tako sytym żołądku i przy dachu nad głową.

*

Jedną z głównych cech dzikości w sferze intelektualnej jest mieszanie pojęć, gdy tymczasem wyjściu ze stanu dzikości towarzyszy rozróżnianie pojęć, myślenie świadome, myślenie krytyczne, myślenie analityczne.

Otóż owi hrabiowie i królewiate, uważając siebie za wybrańców ludzkości, mieszają pojęcia; zdaje im się bowiem, iż są oni z natury „piękni”, wytworni, szlachetni, rozumni i t. d. i t. d. Niestety, są oni tym wszystkim (jeżeli są w istocie i jeżeli nie łudzą się co

⁴W dzisiejszym „kleptomanie” — od tego miejsca wykreślił cenzor. [przypis autorski]

do swej doskonałości) tylko dzięki wyjątkowemu uprzywilejowaniu. Odejmiemy im owe wyjątkowo pomyślne warunki, a staną się może jeszcze bardziej dzikimi, aniżeli jednostki, należące do pogardzonego przez nich „motłochu”. Co więcej, nawet obecnie, nawet w swej niby wyższości moralnej i umysłowej, popełniając dopiero co wskazane pomieszanie pojęć, panowie ci są choćby z tego stanowiska *dzikimi* w najprostszym znaczeniu tego wyrazu.

W związku z pomieszczeniem pojęć, cechującym stan dzikości pod względem umysłowym, pozostaje odwracanie oczu od interesów realnych, od interesów ekonomicznych, pozostaje „walka za ideje”, za „wyznania”, za narodowości, za alfabet, za lilipucie rozbijanie jajka, czy to z grubszego, czy też z cieńszego końca, pozostaje barbarzyństwo i wandalizm, tępiący inne alfabet, inne literatury, inne języki, inne wyznania, innych bogów miejscowych.⁵

III

Chociaż postęp umysłowo-obyczajowy czyli intelektualnie-etyczny wygląda nader mizeralnie w porównaniu z postępowaniem techniki i sztuki, to jednak przyznać musimy, że postęp ten ma miejsce. A rozróżniamy w nim dwie strony, rozwijające się w ścisłej od siebie zależności:

- 1) stronę intelektualną, czysto umysłową;
- 2) stronę moralną, etyczną.

Postęp intelektualny polega przede wszystkim na stopniowym przechodzeniu od pomieszczenia pojęć do ich rozróżniania. Postęp zaś moralny, doskonalenie się etyki jest równoznaczne z potężnieniem altruizmu i uczuć społecznych, a to potężnienie altruizmu idzie ręką w rękę z coraz większą indywidualizacją duchową osobników.

W związku ze wzrostem zdolności myślenia logicznego, w związku ze wzrostem zdolności porównywania i wnioskowania potężnieje także poczucie sprawiedliwości i spólcucia dla siebie podobnych. Ból obcy, obce cierpienie przenosi się na swoją własną osobistość, a to przeciwdziała świadomemu sprawianiu bólu i zadawaniu cierpień. Na takim gruncie powstają i rozwijają się nowe ideały, czerpiące soki z uznania praw człowieka, z poszanowania dla godności ludzkiej.

Ale urzeczywistnianiu tych ideałów stają na przeszkodzie dzikie instynkta, odziedziczone po przodkach, a podtrzymywane i rozniecane przez wpływ otoczenia i złowrogich warunków. Nawet człowiek, stojący na najwyższym szczeblu w rozwoju umysłowym i moralnym, może, pod działaniem pewnych czynników fizjologicznych lub też pod wpływem imaginacji, wpaść w pewien „nastrój” dziki i krwiożerczy, a w ten sposób stanąć w tragicznej kolizji z samym sobą. Boć przecie niezgodność popędów i dążeń mimowolnych z światopoglądem jednostki i z jej przekonaniem stwarza dla niej położenie prawdziwie tragiczne.

Kto więc pragnie zmniejszenia tego tragizmu, kto pragnie oszczędzać sobie i innym cierpienie, mogących być usunięciem, ten powinien dążyć *albo do robienia ludzi bydlętami, nie zdającymi sobie sprawy z tego, co czynią, albo też*⁶ do jak najpotężniejszego uświadomienia, do jak największego postępu świadomości, do pełnego rozkwitu myślenia logicznego i poczucia sprawiedliwości, a to w tak silnym stopniu, ażeby te wyższe czynniki psychiczne były w stanie przeciwdziałać ślepyemu instynktom i popędom. Jestto ideał może niedościgniony, ale dążyć do niego jest obowiązkiem każdego człowieka logicznie myślącego i sprawiedliwego.

W życiu każdego człowieka występuje w pewnych chwilach to jeden, to drugi element: to refleksja i rozum, to znowu dzikość instynktywna. Życie spokojne i bez troski, zadowolenie najpierwszych potrzeb fizjologicznych, rozmyślanie naukowe, analityczne, *wolność od prześladowań i od brania udziału w prześladowaniach*⁷, wszystko to sprzyja przewadze po stronie rozumu i sprawiedliwości. A podobnie jak sen zwykły, podobnie jak upojenie spirytusem lub t. p., tak też wszelkie przyćmienie umysłu tym lub owym afektem, trwałym lub przemijającym, albo też jego (t. j. umysłu) względna słabość w stosunku do popędów żywiołowych, usposabia do objawów dzikości, zwanej fanatyzmem,

⁵...*innych bogów miejscowych* — te siedem ustępów, od „W dzisiejszym kleptomaniu” do „innych bogów miejscowych”, wykreślił cenzor. [przypis autorski]

⁶*albo do robienia ludzi bydlętami...* — wyrazy, wydrukowane tu kursywą, cenzor wykreślił. [przypis autorski]

⁷*wolność od prześladowań...* — wyrazy te, wydrukowane kursywą, cenzor wykreślił. [przypis autorski]

szaleńcem religijnym, patryjotyzmem przeczulonym czyli szowinizmem, erotyzmem, krwiożerczością, wojowniczością i t. d. i t. d.

A znowu podobnie jak obłąkany, który uzna, że jest obłąkanym, znajduje się na drodze ku wyzdrowieniu, tak też pierwszym krokiem do wyjścia ze stanu dzikości jest uznanie, że się w tym stanie znajdujemy. Ja też uznaję to, a prawdopodobnie znajdzie się pewna, choć nieliczna, grupa ludzi, którzy się ze mną zgodzą.

Uznawszy, iż jesteśmy jeszcze pogrążeni w dzikości, idziemy dalej i twierdzimy, że ową dzikość, owo zdziczenie krzewi każdy, kto potęguje w nas instynkta i porywy żywiołowe, pozostające w kolizji z rozumem i z poczuciem sprawiedliwości, i kto wydoskonala dla nich ich bezpośrednie przewodniki, t. j. drogi nerwowe naszego organizmu.

A więc, przy dziś panujących poglądach i ideałach, krzewi dzikość przede wszystkim ten, kto podtrzymuje nędzę społeczną, kto utrwała i kodyfikuje nierówność społeczną, kto stawia przeszkody równouprawnieniu płci, „stanów”, zawodów, wyznań i narodowości⁸.

W sferze życia indywidualnego i rodzinnego, a przez nie także społecznego, skutecznymi czynnikami zdziczenia bywają dosyć często tak zwane „małżeństwa z miłości”, a właściwie z głupoty, t. j. małżeństwa, zawierane bez względu na stan zdrowia, usposobienie, charakter, położenie społeczne i wydajność ekonomiczną małżonków. Takie bezmyślnie kojarzone stadła stwarzają zwykle „dzikie” otoczenie tak dla założycieli „gniazdka rodzinnego”, jakoteż dla wylęgłych w nim piskląt.

Do podtrzymywania, a nawet do zwiększania dzikości mogą prowadzić nawet instytucje, których sama nazwa wskazuje, iż powinny one nie krzewić, ale przeciwnie usuwać i tępić dzikość umysłu i uczuć.

Będę prawdopodobnie oskarżony⁹ o herezję przez czcicieli oświaty obowiązkowej i wywołam w nich zgrozę, ale pomimo to pozwolę sobie twierdzić, że szkoła obowiązkowa i państwowa występuje jako jeden z najwierniejszych sprzymierzeńców zdziczenia, jeżeli jej konsekwencje doprowadzają do Wrześni i Gniezna.

Ale nawet bez obowiązkowości, dzięki pewnym metodom wychowawczym, — pedagogicznym i dydaktycznym, — możemy uważać szkołę za krzewicielkę zdziczenia. Taką musi być szkoła z różgą, z biciem po twarzy, z biciem linją po rękach, z systemem straszania, podglądania, donosicielstwa i t. d. Taką też musi być szkoła, która za pomocą odpowiednio spreparowanych podręczników „religji”, historii, geografji, literatury, gramatyki itd. podtrzymuje i rozwija z jednej strony pomieszanie pojęć i chaotyczność myślenia, z drugiej zaś „nastroj” krwiożerczy i żądny ofiar ludzkich, w związku z nienawiścią międzynarodową, międzyplemienną, międzywyznaniową i międzystanową.

Taką też rolę krzewiłek zdziczenia mogą odgrywać instytucje, stojące na jeszcze wyższym szczeblu umysłowo-społecznym, aniżeli szkoła, mianowicie z jednej strony stowarzyszenia ekonomiczne, mające na celu wytwórczość i uspołecznienie pracy, jeżeli kierują się przytym względami na przynależność wyznaniową lub narodową członków, z drugiej zaś strony najwyższe instytucje naukowe danego kraju lub państwa. Świeżo założona akademja w Poznaniu musi krzewić zdziczenie, ponieważ przede wszystkim, jako instytucja *antyspołeczna*, podżega nienawiść między mieszkańcami tej samej ziemi i ma na celu tłumienie życia umysłowego jednego z narodów miejscowych, a następnie, jako instytucja *antyindywidualna*, zabija indywidualność tego samego narodu, podsyca „egoizm narodowy” niemiecki wogóle, a egoizm każdego Niemca w szczególności, w związku z czym pozostaje wzmocnienie nie uspołecznienia w wyższym stylu, ale tylko prostej stadowości niemieckiej¹⁰.

Rozprzestrzenianie „kultury” europejskiej w krajach „dzikich” równa się znęcaniu się *dzikich* Europejczyków nad tubylcami innych „części świata”.

Jedna z tak mocno i słusznie sławionych „zdobyczy wieku XIX go”, będąca w każdym razie doniosłym objawem uspołecznienia uorganizowanych państwowo gromad ludzkich, mianowicie parlamentaryzm zachodnio-europejski, w pewnych chwilach swego urzeczy-

⁸wyznań i narodowości — wyrazy „wyznań i narodowości” cenzor wykreślił. [przypis autorski]

⁹Będę prawdopodobnie oskarżony... — od tego miejsca trzy następujące ustępy cenzor wykreślił. [przypis autorski]

¹⁰...ale tylko prostej stadowości niemieckiej — trzy powyższe ustępy, od „Będę prawdopodobnie oskarżony o herezję” do „ale tylko prostej stadowości niemieckiej”, cenzor wykreślił. [przypis autorski]

wistniania daje pole do opisu wybuchom rozkielznanej namiętności i sprzyja wzrostowi zdziczenia, t. j. pomiśzania pojęć, i zanikowi poczucia tego, co godziwe, a co niegodziwe.

Ale nawet to, co się sprzedaje i nabywa pod etykietą nauki, może ogłupiać mózgownicę i spóldziałać dziczeniu natur ludzkich. Wiedza impresjonistyczna, wchłanianie w siebie wiadomości drobiazgowych oraz wszelkiego rodzaju plotek uniwersalno-historycznych, wogóle zaspakajanie próżnej ciekawości i zapychanie głowy, bez należytego oświecenia, bez rozbioru, bez krytyki, bez rozróżniania pojęć, nie zmniejsza wcale dzikości tradycyjnej, ale nawet czyni ludzi jeszcze bardziej pochopnymi do przejawiania tej dzikości w najrozmaitszych kierunkach. Wprost zaś do zdziczenia, t. j. do zaćmienia umysłów i do spotęgowania wybuchowości żywiołowej prowadzi znaczna część codziennej strawy umysłowej czytelników gazet i wogóle publicystyki.

Nareszcie pewnego rodzaju literatura, poezja i sztuka działają jak opjum i haszysz, upajają, wprawiają umysły w stan, graniczący z szałem i snem niespokojnym, krzewiąc przez to samo dzikość, a w najlepszym razie dzikość wysubtelnioną. Zwłaszcza pewien odłam powieściopisarstwa odgrywa rolę niepośledniego czynnika w procesie podtrzymywania i utrwalania dzikości.

Kto choć trochę obserwował ludzi i zastanawiał się nad ich naturą, ten wie, że niepodobna oddzielać bez zająknięcia się kozłów od baranów, przestępców od cnotliwych, głupców od rozumnych itd. W każdym prawie człowieku drzemie głupiec, szaleniec i zbrodniarz, a do ich obudzenia się potrzebne są tylko odpowiednie warunki. Im dany osobnik jest naturą bardziej bogatą, złożoną i wielostronną, tym łatwiej mogą się w nim łączyć pierwiastki z pozoru całkiem odmienne, jak np. zbrodniczość z wysokim talentem artystycznym. O zgodzie tych pierwiastków trudno mówić; zwykle bowiem jeden z nich przeważa i przyćmiewa drugi. Wiadomo jednak, że tak zwani *uomim deliquenti*, to jest zbrodniarze z urodzenia, pisują niekiedy natchnione poezje, kreślą obrazy, nacechowane płomienną fantazją i wogóle zasługują na uwagę estetyków i historyków literatury.

Jeden z „potworów moralnych” drugiej połowy w. XVIII-go, markiz Sade, ogłaszał powieści, wprawdzie jednostronnie lubieżne i okrutne, ale zawsze powieści, które czytelnik połyka z wielkim zaciekawieniem.

Nie tak dawno słynny pisarz angielski Oskar Wilde (dziś już nie żyjący) został skazany na kilka lat ciężkich robót za krzyczące „występki” przeciw *tak zwanej*¹¹ „moralności”.

Dostojewski, jeden z najgienialniejszych powieściopisarzy-psychologów, *odznaczał się pewnymi cechami fizycznymi, przypominającymi przestępcę z urodzenia, a nawet*¹², według własnego wyznania, był z natury okrutnikiem i lubieżnikiem. Nie mógł on widzieć kobiety bez pożądania jej. Kreśląc niepospolite charakterystyki swych bohaterów psychopatycznie zwyrodniałych, czuł się w swoim żywiole. To też, jak to wykazały niektóre procesy kryminalne, jego „*Prestuplenie i nakazanie*” stanowi ulubioną lekturę morderców inteligentnych i półinteligentnych. Powieść tę studjował ów młodzieniec na wpół wykształcony, który parę lat temu w Petersburgu zamordował w okrutny sposób kilkoletniego chłopczyka. W tę też powieść zagłębiali się zabójcy Tomaszewskiego, a w pewnych, zapewne nielicznych, kółkach młodzieży (np. w Petersburgu), zwłaszcza młodzieży rozestetyzowanej i rozdekadencej, wentyluje się poważnie kwestja, czy nie jest obowiązkiem ludzi przyzwoitych wyprawiać na tamten świat „darmozjadów” lichwiarzy i inne „szkodliwe jednostki”.

Jak kamerton potęguje właściwy sobie ton, wydany przez strunę instrumentu muzycznego, tak też dusze, odpowiednio nastrojone, brzmia *unisono* z „*Prestupleniem i nakazaniem*”.

Głośny dziś Leonid Andrejew lubuje się poprostu w wytwarzaniu nastroju ponurego, lubieżnego i krwiożerczego, a że temu „nastrojowi” towarzyszy „pesymizm filozoficzny”, to już nie zmienia faktu źródła psychicznego, z którego płyną podobne utwory.

Niekiedy od „literatury nadobnej” otrzymuje się wrażenie, jak gdyby dane społeczeństwo było stadem zuchwałych samców i rozwydrzonych samic. Ten odłam beletrystyki, odłam samczo-samiczy, kwitnie i bujnie się rozwija chyba u wszystkich „narodów cywilizowanych”. Polacy wcale tu innym nie ustępują; przeciwnie zajmują chlubnie jedno

¹¹*tak zwanej* — wyrazy, wydrukowane tu kursywą, cenzor wykreślił. [przypis autorski]

¹²*odznaczał się pewnymi cechami* — wyrazy, wydrukowane tu kursywą, cenzor wykreślił. [przypis autorski]

z miejsc w pierwszym szeregu. A niesprawiedliwością byłoby tu obwiniać tak zwany „realizm” i „naturalizm” w powieści. Przed realizmem i naturalizmem od najdawniejszych czasów ciągnie się przez utwory literatury nadobnej silnie tętniący nerw wizji, podniecających zmysłowość w sferze stosunków międzypłciowych. Nie omył się chyba, twierdząc, że na niejednego z przedstawicieli starszego pokolenia w ich młodych latach działał w ten sposób niekiedy nawet niewinny Kraszewski wraz z całym gronem współczesnych mu powieściopisarzy.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że żywioł erotyczny uległ skondensowaniu w ostatnich lat dziesiątkach.

Pod wpływem „Nany” Zoli i innych pokrewnych jej utworów zjawiał się i w literaturze polskiej cały zastęp „nanistów” i „nanistek”, w tej liczbie także „szanownych matron” i „dziewoi uroczych”, rozkoszujących się malowaniem lub przynajmniej robieniem bardzo przezroczystych aluzji do scen drastycznych, do scen „flirtu” daleko posuniętego, bo scen uwodzenia i nawet... gwałcenia. Ileż to razy, przy czytaniu tych „niewieścich utworów”, muskających dziedzinę pornografii, brała chętna zapytać, czy szanowna autorka zna opisywane „nastroje” i działania czynne i bierne z własnego doświadczenia, czy też je tylko „odczuwa” potęgą swej wyobraźni.

A były w tym zastępie nie same tylko „realistki” i „naturalistki”. Jedne z pierwszych skrzypiec trzymała pewna „dziewica litewska”, bardzo idealna, bardzo pobożna i oczywiście postępująca według pożytecznej recepty: „i Bogu świeczka, i djabłu ożóg”.

Bądź jak bądź, mieliśmy i „klasycyzm” samczo-samiczy, i „romantyzm” samczo-samiczy, i „realizm” samczo-samiczy, i „naturalizm” samczo-samiczy, i „symbolizm” samczo-samiczy, i „modernizm” samczo-samiczy, i „dekadentyzm” samczo-samiczy i... po prostu wszeteczeński.

A nawet wielki kaznodzieja przeciwko „ruji i porubstwu”, ów mistrz słowa, którego utwory rozchodzą się tysiącami na obu półkulach, ileż to razy skierowuje wyobraźnię czytelnika w sfery, bardzo blisko graniczące, jeżeli nie identyczne, z „rują i porubstwem”, t. j. z erotyzmem i z okrucieństwami bestji dwunogich! Tak to kocioł garnkowi przygania, a sam smoli.

Nasi najnowsi, między którymi są niewątpliwie pierwszorzędne talenta, idą również utartymi drogami i unoszą się na skrzydłach wyobraźni do jaskiń, pozbawionych światła rozumu, pograżonych w pomroce snu psychicznego, a za to rozbrzmiewających wyciem i jękiem gwałcicieli i gwałconych, tępicielei i tępionych¹³.

IV

Do napisania tego artykułu wzięłam pochop ze wspaniałej i porywającej powieści Żeromskiego, *Popioły* kawałkowanej od dość dawnego czasu na szpaltach „Tygodnika ilustrowanego”¹⁴. Niektóre z ostatnich numerów „Tygodnika”, jako też niektóre dawniejsze zawierają ze wzmiankowanej powieści jedynie tylko sceny i obrazy, przeładowane zbyt jaskrawymi wybuchami miłości „rycerskiej” i zgęszczonym urzeczywistnieniem reklamowanego przepisu: „kochaj bliźniego swego, jak siebie samego”. Ale nie chciałbym być posądzonym o „zamach na wolność sztuki”, i dla tego zacznę od rozpamiętywań ogólniejszego charakteru.

Różne są sposoby dochodzenia do „prawdy”, różne są sposoby poznawania tego, co się działo w świecie psychiczno-społecznym.

Poznajemy „rzeczywistość historyczną”, przeżywając ją i biorąc w niej bezpośredni udział.

Poznajemy ją również z suchych, kronikarskich opisów, będących bezbarwnym protokółowaniem tego, co się działo. Takie opisy dostarczają materiału dla dwóch innych sposobów dochodzenia do prawdy historycznej, stanowiących zadanie, z jednej strony, uczonego-myśliciela, z drugiej zaś artysty-poety. Artysta ujmuje prawdę historyczną w obrazach najcharakterystyczniejszych; uczony przedstawia tę samą prawdę w abstrakcjach naukowych.

¹³... tępicielei i tępionych — tyle tylko próbowano składać dla „Ogniwa”; dalszy ciąg, wobec nieubłaganego pastwienia się cenzora, pozostał jedynie w rękopisie. [przypis autorski]

¹⁴Do napisania tego artykułu... — pisałem to w ostatnich tygodniach r. 1903. [przypis autorski]

Jeżeli mowa o Żeromskim, to rzecz prosta, iż mamy tu do czynienia z prawdą, artystycznie odtwarzaną. Przed nami pierwszorzędnym mistrz, który rzeczywistość zagasłą odczuwa i odgaduje, który wskrzesza „popioły”, który domacał się tętna życia epok minionych, który z nieporównaną siłą wznieca w nas uczucia, miotające duszami jego bohaterów, a kilku pociągnięciami pióra unaocznia prądy społeczne, nurtujące w głębiach życia pokoleń, które oddawna zstąpiły do grobu.

A kto to wszystko potrafi, musi być pierwszorzędnym artystą. Zdawałoby się zaś, że im większy artysta, tym większa jego odpowiedzialność. .. przed społeczeństwem. Zgadza się też na zdanie, iż Żeromski jest może najbardziej społecznym spośród wszystkich młodszych pisarzy polskich. Pamiętajmy jednak, że artysta, właśnie jako artysta, jako porywany niepohamowanym rozpędem tworzenia, — chociażby był jak najbardziej „społecznym” — zna tylko jedną jedyną odpowiedzialność, odpowiedzialność estetyczną.

Lew Tolstoj wypowiedział zdanie, że gienjalni wodzowie są wielką klęską ludzkości. Porwani pędem swego gienjuszu militarne, idą wciąż naprzód, na nic się nie oglądając, druzgocąc wszystko, co spotykają, niwecząc tysiące egzystencji ludzkich, podkopując dobrobyt, powstrzymując i cofając rozwój umysłowy i moralny. Ośmielam się twierdzić, że gienjusz artystyczny może również wyrządzać szkody i spustoszenia, chociaż oczywiście w nierównie mniejszym stopniu, aniżeli gienjusz militarny. „Tlejący w piersiach artystów ogień twórczy” może ich zaślepić na wszystkie inne potrzeby, na wszystkie inne strony życia psychiczno-społecznego. Hypnotyzowanie się obrazowaniem artystycznym pociąga za sobą bezwzględny jednostronność i niepoczytalność danego osobnika pod wszelkimi innymi względami. Artyzm porywa i ubezwzględnia twórcę, ubezwładniając jednocześnie jego krytycyzm w sferze myślenia logicznego i etyki. Przy pewnej dozie zboczenia moralnego otrzymujemy wtedy „artystę” Nerona, lubującego się *pięknym* widokiem pożaru, otrzymujemy manjaka i szaleńca, którego *coś* pcha do podłożenia lontu pod skład prochu; myśli on bowiem tylko o oczekiwany wspaniałym widowisku, nie pytając wcale o skutki z innej sfery wyobrażeń. Podobnie jak człowiek „dziki”, tak również i bezwzględny impresjonista artystyczny nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności. On tylko „tworzy” lub „odtwarza”; wzbudza tak w sobie samym, jako też w czytelniku, słuchaczu i widzu pewien „nastój”; każe wcielać się w „bohaterów”, przeżywać sytuacje. No, a że tam przytym to odtwarzanie „nastrojów”, to wcielanie się w rozbewziewionych okrutników, w roznamiętnionych gwałcicieli i t. p. może rozspołecznić, rozindywidualizowywać, o to się ani wielki artysta, ani też jego bezwzględny wielbiciel troszczyć nie potrzebują.

Sposób poznawania prawdy psychicznej i historycznej za pomocą artystycznego wzbudzenia nastrojów i unaoczniającego sytuacje obrazowania najwszechstronniej porywa człowieka, każąc mu przeżywać to, co się działo, każąc mu ożywiać uczucia dawnych pokoleń i rozpałać w sobie samym dawno wygasłe wulkany namiętności i porywów. Naelektryzowany dreszczem tworzenia artystycznego, nawet najbardziej społeczny poeta zabarwia swe utwory tym, w czym — może nawet całkiem bezwiednie, — lubuje się jego wyobraźnia. A nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że znakomita większość tak gienjalnych, utalentowanych, zdolnych, jako też nie-gienjalnych, nie-utalentowanych i nie-zdolnych dwunogich samców, a nawet niekiedy i samic, czuje nieprzeparty pociąg do bujania w sferze zmysłowości, oraz „krwiożerczej lubieżności”, czy też „lubieżnej krwiożerczości”.

V

Podobnie jak w dziedzinie porozumiewania się i obcowania językowego, tak też w dziedzinie obcowania artystycznego widzimy przede wszystkim dwa krańce, dwa bieguny: czynnego artystę i biernego odbiorcę wrażeń artystycznych (widza, słuchacza, czytelnika). Tak na jednym, jak na drugim krańcu trudną do osiągnięcia jest pobudliwość i wrażliwość jedynie artystyczna, z zupełnym nieodzywaniem się innych wzruszeń i dreszczów, wywoływanych już przez samą psychofizyczną organizację człowieka.

Sam artysta, tworzący dzieło sztuki, wciela się prawdopodobnie w swoich „bohaterów”, odczuwa ich nastroje, doznaje przypisywanych im wzruszeń i namiętności. Nie mogę przypuścić, ażeby, — czy to w zakresie sztuk plastycznych, czy też w zakresie twórczości poetycko-powieściopisarskiej, — przy malowaniu scen krwiożerczo-lubież-

nych była możliwą ich czysto artystyczna kontemplacja. Przeciwnie zdaje mi się, że nawet uprzywilejowani wybrańcy muz, artyści i wieszcz, doświadczają w chwili tworzenia dreszczy okrutniczo-lubieżnych, a rozkoszując się odtwarzanymi przez siebie obrazami, grzebiąc zaciekle w tym, co rozpala wyobraźnię, wzbudzają nastrój odpowiedni nietylko w czytelniku lub widzu, ale także w samych sobie. Pomimo to możliwym jest wypadek, że prawdziwi wirtuozi, grający na nerwach konsumenta ich wytworów, sami w chwili twórczości nie doznają żadnych wzruszeń tego rodzaju. Oni na zimno rozpalają wyobraźnię, rozstrajają nerwy, osłabiają wolę i — co za tym idzie, — „demoralizują” i *krzewią zdziczenie*.

Uwagi powyższe są czysto ogólnego charakteru i nie mierzą specjalnie w żadnego pisarza. Co zaś do Żeromskiego, to jest on naturą zanadto głęboką, subtelną i współczującą, ażeby można go było posądzać o kreślenie na zimno płomiennych obrazów.

Na drugim krańcu obcowania artystycznego staje człowiek zbiorowy, stają całe zastępy rozmaitego kalibru biernych konsumentów dzieł sztuki. Są to wszystko ludzie z nerwami, z wyobraźnią i z rozmaicie ustopniowanymi właściwościami fizjologicznymi i psychicznymi. Przy poddawaniu się wpływowi dzieł sztuki i wywoływaniu w sobie odpowiednich nastrojów i obrazów niepodobna chyba ograniczyć się samą tylko wyobraźnią estetyczną, boć przecie, — jak już zauważyłem, — ta wyobraźnia estetyczna pozostaje w ścisłym i nierozzerwalnym związku z całym organizmem psychiczno-fizycznym człowieka.

Nie przeczę, że w całej tej masie zwykłych konsumentów pokarmu artystycznego może się znaleźć nieliczna garstka duchów wyższych, prawdziwych wybrańców losu i kapłanów sztuki bezwzględnej. Właściwe tym arystokratom ducha napięcie estetyczne może być tak potężne, że dostatecznie opancerza ich przed wpływami prądów nie-estetycznych, towarzyszących wrażeniom estetycznym. Dla tej wykwintnej dziatwy Apollina jedynym hasłem jest i pozostaje: „*pereat mundus, fiat ars*” (niech zginie świat, byle się działa sztuka); podobnie jak fanatycy sprawiedliwości kierują się hasłem „*pereat mundus, fiat justitia*” (niech zginie świat, byle się działa sprawiedliwość). Tylko że to ostatnie można, zgodnie z wymaganiami prawdziwej sprawiedliwości, przekształcić na „*fiat justitia, ne pereat mundus*” (niechaj się dzieje sprawiedliwość, ażeby świat nie zaginął), gdy tymczasem podobne przekształcenie hasła fanatyków sztuki na „*fiat ars, ne pereat mundus*” jakoś dziwnieby wyglądało.

Ale podobni esteci z bożej łaski, ubezpłciowieni poniekąd świętym ogniem sztuki, należą do rzadkich wyjątków. Bo już o spotykanych nierównie częściej rozestetyzowanych i rozhisteryzowanych smakoszach sztuki, spożywających pokarm estetyczny, nadziany erotyzmem i krwiożerczością, nie da się powiedzieć, iż doświadczają przytym wrażeń jedynie estetycznych, bez skalania wyobraźni, bez zdenerwowania i bez rozstroju władz umysłowych. Przeważną zaś liczbę czytelników stanowią zastępy zwykłych śmiertelników płci obojga a rozmaitych wieków i o rozmaitej skali wrażliwości na podnieoty krwiożerczo-lubieżne. Ci szeregowcy rzeczypospolitej piśmienniczo-artystycznej, — o ile nie są albo istotami od natury intelektualnie bezpłciowemi, albo też szambelanami sułtana i tradycyjnymi śpiewakami kapelli Sykstyńskiej, — posiadają przedewszystkim zwykłą wrażliwość psychiczno-fizjologiczną i przy odtwarzaniu scen erotycznych i lubieżno-krwiożerczych, napotykanym chociażby nawet w pierwszorzędnym arcydziełach sztuki i literatury, doznają nie tyle rozkoszy estetycznych, ile raczej odpowiednich owym scenom wrażeń, oddziaływających szkodliwie na ich zdrowie i na ich stronę etyczną.

Artystę i estetę przekupuje i ubezwładnia świetność i gienjalność obrazowania, właściwego danemu utworowi; na wpływ zaś fizjologiczny i psychiczny, rozplamieniąjący wyobraźnię, denerwujący, osłabiający wolę i odporność, zamyka on oczy, uszy i wszystkie inne zmysły. Entuzjazm dla wielkich artystów i poetów robi z nich dla niejednego krytyka nietykalne bożyszczce i przeszkadza widzieć w nich jakąkolwiek skazę. Wszelka próba chłodnej krytyki, wszelka próba zastanowienia się i spojrzenia na dzieło czy też arcydzieło sztuki z innego, nie wyłącznie estetycznego, stanowiska, wydaje się entuzjaście świętokradztwem.

Nie należąc do entuzjastów, a za to cierpiąc na chroniczny brak estetyzmu, pozwalam sobie profanować zuchwale dzieła sztuki przez zastosowanie do nich miary higienicznej i etycznej.

VI

Nie wdając się wcale w roztrząsanie kwestji, czy możliwą jest wogóle, nawet u wybrańców muz, czysto artystyczna kontemplacja obrazów, kąpiących erotyzmem i krwiożerczością, bronię przed olśniewającym blaskiem arcyzmu nie owych nielicznych arystokratów ducha, ale ogromne zastępy maluczkiuch duchem, do których w dziedzinie arcyzmu sam zawsze należałem i należę.

Na maluczkiuch dzieło sztuki, jako dzieło sztuki, działa słabiej, ale za to wszechstronniej, t. j. wywiera ono na nich wpływ nietylko stroną artystyczną, ale — i to może przeważnie — wszelkiemi innymi stronami fizjologiczno-psychicznymi.

Jednostronny artysta podpali miasto, ażeby się lubować wspaniałym widokiem pożaru; osobnik ubogi duchem pamięta przedewszystkim o nieszczęściach i łzach ludzkich, jakie ta ucztta artystyczna wyciska. Niedościęły w swym estetyzmie kapłan sztuki rozkoszuje się bombardowaniem i szturmem twierdzy, gdyż dają mu one wielkie zadowolenie estetyczne; pogardzanemu przez estetów „filistrowi” przychodzi przedewszystkim na myśl związana z temi widokami nędzta ludzka, a to uniemożliwia mu wszelką rozkosz estetyczną.

I otóż ten sam „filister” pozwala sobie twierdzić, że odtwarzanie w sztuce obrazów „lubieżno-krwiożerczych”, chociażby nawet najwspanialsze i najartystyczniejsze, działa na *ludzi zwykłych* szkodliwie, gdyż tak czy inaczej oswaja ich z ohydą moralną. A im większy artysta, tym silniejsze wrażenie, tym potężniejszy wpływ.

Tak więc dla wielu bardzo czytelników z literatury tego rodzaju mogą powstawać pod względem higienicznym i etycznym dotkliwe szkody; gdyż

albo popycha ona do odpowiednich czynów, osłabiając „wolę” i samokrytykę;

albo, w najlepszym razie, opanowuje wyobraźnię i zużywa energję myślenia, odwracając je od analizy rozumowej, a zmuszając do niemej kontemplacji wszczepionych w duszę obrazów lubieżnych i krwiożerczych.

A jeżeli przeżywanie w wyobraźni scen krwiożerczo-lubieżnych, oraz wcielanie się w „nastroje” bestji potwornych jest jadem i trucizną dla nerwów, i to jadem gorszym może od opajania się za pomocą opjum, haszyszu lub gorzałki, jeżeli barwne szczegóły tego rodzaju mogą rozpałać i porywać w sferę erotyzmu i krwiożerczości wyobraźnię nawet ludzi starszych, — nie mówiąc już o młodzieży, o podrostkach i podlotkach, to mamy chyba prawo, nie pociągając wcale wielkiego artysty do jakiegokolwiek bądź odpowiedzialności, zastanowić się przynajmniej uważnie i zanalizować wszechstronny wpływ jego utworów.

Napoleonowie i inni „twórcy dziejów powszechnych” urządzają rzezie i orgje żołdactwa w rzeczywistości, a panowie powieściopisarze w fantazji. Skutek jednakże jest ten sam: i tu i tam — zdziczenie, bądź to przemijające i chwilowe, bądź też stopniowo się utrwalające. Przecież na stronę psychiczną człowieka nawet rzeczywistość działa tylko o tyle, o ile ją sobie wyobrażamy. Czy kto sam widział, jak rozpruwają brzuchy, gniotą klatki piersiowe, odrzynają piersi kobiece, duszą, wieszają, kłoją bagnietami, gwałcą i t. d. i t. d., czy też tylko czytał plastyczne opisy tych wszystkich „czynów bohaterkich”, to prawie na jedno wychodzi. Człowiek wciela się chwilowo w okrutnika, we wściekłą bestję, we wszetecznika, w gwałciciela, jednym słowem w „bohatera” znęcającego się i tępiącego, odczuwa z nim razem, uplastycznia sobie jego czyny i uczucia, a to z konieczności pozostawia ślad i usposabia do odtwarzania za pomocą wyobraźni tych samych wrażeń i obrazów. Powtarzanie wrażeń potęguje je, a drogi nerwowe, drogi psychofizyczne, po których przebiegają odpowiednie prądy wrażliwości dośrodkowej, oraz wyładowują się w kierunku odśrodkowym chuci i namiętności, wydoskonalają się; następnie, wskutek ścisłego związku wyobraźni ze stroną fizjologiczną pewnych funkcji życiowych, potężnieją objawy, osłabiające organizm, przeciwdziałanie tym objawom ze strony świadomości coraz bardziej słabnie, słabnie też i niedołącznieje tak zwana wola, a w ostatecznym rezultacie preparowany w ten sposób osobnik, przynajmniej w danym zakresie życia psychofizycznego, dziczeje.

Jeżeli podobnym wpływom rozkładowym ulega jednostka nieco podnioślejszego umysłu i z dążeniami wyższymi, idealnymi, pociąga to za sobą rozterkę duchową i rozdwojenie, a w razie ich poprzedniego istnienia znakomicie je wzmacnia i potęguje. Wiem, że to ohydne, niesprawiedliwe, nikczemne, potępiam to, walczę całą siłą rozumowania

i poczucia sprawiedliwości, właściwego człowiekowi oświeconemu i logicznie myślącemu, a pomimo to wyobraźnia i nerwy ciągną mię w inną stronę, pchają po równi pochyłej, dopóki nie stoczę się na dno, a ocucenie się na dnie staje się powodem „wyrzutów sumienia” i zgryzot, czasami wprost nie do zniesienia. To też natury wyższe i szlachetniejsze, a ze słabą wolą, nie mogąc znieść podobnej rozterki wewnętrznej, kończą niekiedy samobójstwem.

VII

Istnieją ludzie, czy to do tyla naiwni, czy też tak optymistycznie usposobieni, że im się zdaje, iż artystyczne obrazy okrucieństw wojny powinny odstraszać, odstręczać i obrzydzać wojnę, a malowanie scen lubieżnych napawać wstrętem do dzikiego erotyzmu. A więc pokazywanie obrazków pornograficznych, przechowywanych w tak zwanym piekle (*enfer*) Biblioteki nacjonalnej w Paryżu, powinno być najlepszym środkiem pedagogicznym do podtrzymywania skromności wychowawców i napelniania ich wstrętem do wszelkiego rodzaju wszeteczeństw. A może dla tym skuteczniejszego oddziaływania i dla wzbudzania tym większego wstrętu należałoby pokazywać sceny z życia rzeczywistego: „patrz kochanku, jakie to szkaradne i ohydne”. — „Tak, istotnie, bardzo to może ohydne, ale ja jednak oczu od tego oderwać nie mogę, ale mię to rozpala, roznamiętnia i ciągnie ku sobie”.

A zresztą przypatrzmy się z różnych stron odnośnej psychologii.

Czyż można uważać widowisko walki byków za środek, odstręczający od znęcania się nad zwierzętami? Przecież jestto jedna z najlubiejszych zabaw szlachetnego narodu hiszpańskiego, nie tylko zwykłego motłochu, ale także elity towarzyskiej, elity tak pod względem umysłowości, jako też pod względem stanowiska, zajmowanego w hierarchii społecznej. Niechby tylko rząd hiszpański zabronił tego narodowego igrzyska, a z pewnością wybuchła by ogólna rewolucja, bo te krwiożercze bestje półwyspu Iberyjskiego muszą paść oczy widokiem koni z rozplatanymi brzuchami i byków, torturowanych z subtelnoscią i wyrafinowaniem.

Cyrki rzymskie, w których przelewano krew i męczono nie tylko zwierzęta, ale także ludzi, jakoteż torturowania heretyków przez obrońców kościoła wojującego, chyba nie rozwijały w widzach współczucia dla cierpień bliźniego i nie oddalały ich od stanu dzikości.

A jakąż jest psychologia jatek ludzkich, zwanych wojną? Ten, kto sam brał udział choćby tylko w jednej bitwie, a tym bardziej w kilku bitwach, nie zraza się wcale do „rycerskiego rzemiosła”, ale, przeciwnie, zaprawia się w nim, hartuje się i zżywa się z legalnym mordowaniem „bliźnich” i z innymi okrucieństwami, „prawem dozwolonemi”. Tylko na wyjątkowe jednostki wojna działa odstrasżająco. A z jakąż to chciwością czytamy my, „inteligenci”, opisy bitew wogóle, a cóż dopiero opisy bitew artystyczne i wspaniałe, nie daleko szukając, opisy bitew choćby w „Popiołach” Żeromskiego!

A skromny wykonawca sprawiedliwości, „słusznie zwany” katem, przecież jeżeli nie jest złoczyńcą z „bożej łaski”, chybać w początkach swego szlachetnego zawodu tylko z pewnym wstrętem i obrzydzeniem oddziela głowy od kadłubów, zakłada stryczek na szyję i wogóle dokonywa różnych operacji nad ludzkimi ciałami, oddanymi na ofiarę „bogowi sprawiedliwości”. Nie tylko zresztą kat; nie ulega wątpliwości, że nawet rzeźnik, nie będący okrutnikiem z urodzenia, doświadcza z początku podobnych uczuć, co i kat. Później jednak obaj zespala się ze swym rzemiosłem i wykonywają je z zadowoleniem i „przekonaniem”. Powtarzanie wrażeń, związanych ze spełnianiem „obowiązków” swego zawodu, obudza i potęguje drzemiące w duszach tych funkcjonariuszów dzikie instynkta, odziedziczone po odległych przodkach.

Sędziemu, podpisującemu po raz pierwszy wyrok śmierci, zadrza z pewnością ręka, jeżeli oczywiście nie jest okrutnikiem i krwiożercą z natury; ale później, po pewnym czasie, idzie mu to jak z płatka. *Ce n'est que le bremier pas qui coute.*

Podobnie oswaja się ze zbrodniami ten, kto sam ich nie wykonywa, ale tylko bierze w nich udział przez imaginację, t. j. kto wciela się wyobraźnią w „bohaterów” zbrodni, uplastycznianych ręką artysty lub poety.

Oczywiście tedy malowanie artystyczne zbrodni nikogo od niej nie odstręcza, podobnie jak nie odstręcza od niej widowisko realne czynów zbrodniczych. Co więcej, dziś chyba tylko bezdenna naiwność lub też zakorzeniałe doktrynerstwo przypuszczają jesz-

cze, że może odstraszać od zbrodni widok lub też opis artystyczny kary, za „zbrodnię” ponoszonej.

Lat temu trzydzieści mniej więcej, podczas wielkiego jarmarku w Niżnim Nowgorodzie, grasowały tam w sposób zatrważający rzezimieszki. Ówczesny generał-gubernator Niżniego Nowgorodu, Baranow, chcąc wykorzenić to zło, zaprowadził stan wojenny i oddawał schwytanych na gorącym uczynku rzezimieszków pod sąd wojenny, który, „ze względu na bezpieczeństwo publiczne” i „dla przykładu”, skazywał podsądnych na śmierć. Wyrok wykonywano nie zwlekając; rzezimieszka wieszano lub też rozstrzeliwano, a po świeżym jego grobie, tuż na miejscu kaźni wykopanym i mieszczącym zwłoki pacjenta, przechodziło wojsko z muzyką i z wesołymi pieśniami. Było to obliczone oczywiście na odstraszenie rzezimieszków. Ale jak na to odpowiadali sami rzezimieszkowie? Oto na to bezpłatne a pikantne widowisko zbierała się masa niezliczona gawiedzi wszelkich stanów i stopni rozwoju umysłowego, a zapatrzona w procedurę „wykonywania sprawiedliwości”, nie spostrzegając, jak koledzy wieszanego lub też rozstrzeliwanego opróżniali jej kieszenie. Chwila wykonywania kary za „zbrodnię” dawała najlepszą sposobność do popełniania „zbrodni” w spotęgowanych rozmiarach.

Podobne widowiska czynów lubieżnych i okrutnych, a więc rozmaitych „zbrodni”, rozmaitych „aktów sprawiedliwości i zadosyćuczynienia”, rozmaitych wybuchów zemsty, nienawiści i „miłości”, roztaczają przed naszymi oczyma nasi zdolni, utalentowani, może nawet „gienjalni” powieściopisarze. Jakże to plastyczne! jakim to „drga życiem i prawdą”! Istotnie, drga to życiem i prawdą, chociażby tylko prawdą artystyczną, ale jeszcze większym życiem i prawdą drgają czy to widoki prawdziwych okrucieństw, czy też sceny brutalnie erotyczne, pokazywane podobno za pieniądze miłośnikom „przyrody żywej” i „prawdy realnej” w umyślnie w tym celu urządzanych zakładach niektórych stolic europejskich. Na wyobraźnię obie „prawdy”, tak „prawda życiowa”, jakoteż „prawda artystyczna”, działają prawie jednakowo.

Doskonałą ilustrację potęgi „nastroju”, pchającego do odpowiednich czynów, podały niegdyś „*Fliegende Blätter*”. Nauczyciel elementarny, „poważny i doświadczony pedagog”, odczytał niemiłosiernie jednego z wychowalców za jakąś drobną swawolę. Ochłonawszy z oburzenia, poczuł zgryzoty sumienia i postanowił przeprosić publicznie, w obecności całej klasy, niesprawiedliwie „ukaranego” malca. Na drugi dzień tedy zwrócił się doń z odpowiednią przemową i zaczął wykladać przebieg sprawy w porządku chronologicznym. Kiedy zaś doszedł do opisu swawoli, która go tak wczoraj oburzyła, wpadł w ten sam „nastój” wojowniczy i przy słowach „dokazywałeś, swawoliłeś, byłeś nieposłuszny”, schwycił powtórnie biednego delikwenta i powtórnie wymierzył mu plagi, zapomniawszy zupełnie o swym szlachetnym postanowieniu. Podobnie dzieje się nieraz z opisującymi szczegółowo swoje „grzechy” w celu pokuty i zadosyćuczynienia. „Nastój” odpowiedni może opanować tak spowiadającego się, jak i spowiednika.

I oto we wspaniałej powieści historycznej w wyższym stylu mamy przed sobą spowiedź powszechną człowieka zbiorowego, spowiedź, która powinnaby wywołać tylko żal za grzechy i szczerze postanowienie więcej nie grzeszenia. Ale że spowiedzi tej towarzyszy wskrzeszanie obrazów „grzechu” w całej ich okrutnej i porywającej świetności, więc ta iskra gienjalnej twórczości dostaje się do zbiornika materiałów wybuchowych natury ludzkiej.

Jestto smutna a nieunikniona fatalność bezwzględnej twórczości artystycznej. Nieraz powtarzano zdanie, oparte na całym szeregu spostrzeżeń, że poeta i artysta wogóle przypomina pod wielu względami człowieka „dzikiego”. Nie dziw więc, że jego twórczość może współdziałać zdziczeniu.

W porywających prawdą artystyczną utworach pierwszorzędnego pisarza mogą być sceny i obrazy, tak *dzikie* i wstrząsające, do tego stopnia brudzące i kalające wyobraźnię, tak wysoce denerwujące, tak potężnie oddziaływające nawet pod względem fizjologicznym, do tego stopnia, z jednej strony, osłabiające wolę, z drugiej zaś wydoskonalające drogi prądów lubieżno-krwiozerczych, że trzeba je uważać za wielką krzywdę, wyrządzoną spokojowi i zdrowiu, nie tylko psychicznemu, ale także fizycznemu, czytelników.

Dotyczy to zwłaszcza powieści, drukowanych kawałkami w dziennikach i tygodnikach. Czytelnik narzuca się na urywek, pomieszczony w tylko co otrzymanym numerze,

czyta go z zapartym oddechem, pochłania od jednego rozmachu i doświadcza. ... No, to już zależy od treści świetnych obrazów, w które wypada mu się wpatrywać. Jeżeli będą to obrazy np. ze zdobywania Saragossy, to czytelnik, a może nawet i czytelniczka, doświadczy skutków bardzo niepożądanych, oczywiście niepożądanych tylko w takim razie, jeżeli przywiążemy jakiegokolwiek znaczenie do równowagi umysłowej, do spokoju, do zdrowia, do czystości wyobraźni.

Zwracając uwagę na te poboczne skutki bezwzględnej „prawdy artystycznej” u bieguna odbiorczego w łańcuchu obcowania literacko-artystycznego, nie uwłaczam bynajmniej ani potędze twórczej Żeromskiego i jemu podobnych, ani też ich zasługom obywatelskim na innych polach.

VIII

Oswobodziwszy się od hipnotyzującego uroku poezji, stosując do utworu artystycznego pedantyczne wymagania trzeźwej krytyki historycznej, mamy prawo zapytać:

Co, oprócz rozkielznanej i rozwydrzonej wyobraźni, upoważnia panów powieściopisarzy do roztaczania przed czytelnikami tych wszystkich szczegółów rzezi i pastwienia się, z dokładnym umiejscowieniem, z nazwami ulic, domów, klasztorów i t. d.? Czy mają na to jakie wiarogodne dane? Z jakiego źródła czerpią materiał dla swych urojeń artystycznych? Czy opisano gdziekolwiek te wszystkie poszczególne rozpruwania brzuchów, wyrzucania starszych kobiet przez okno, a poniewierania młodszych, i t. d. i t. d.? Czy którykolwiek ze zbydlęconych uczestników tych orgii i rozpasania mógł zapamiętać szczegóły dokonanych „czynów bohaterkich” ze ścisłością, konieczną do tego, ażeby opierać na nich wiarogodną, chociażby nawet całkiem wymyśloną i wysoce artystyczną, opowieść?

W kalejdoskopie szczegółów ohydnej rzezi Saragossy dostrzegamy jedynie prawdopodobieństwo, a prawdopodobieństwo nie daje *nikomu*, a więc nawet najgienjalniejszemu artyście, prawa do zanieczyszczania wyobraźni czytelników. A zresztą nawet najzupełniejsza prawdziwość faktyczna tego rodzaju szczegółów upoważniałaby jedynie do ściśle opisowego ich zestawienia i do czynienia na tej podstawie wniosków naukowych: psychicznych, psychiatrycznych, socjologicznych i t. d. Od nadużywania zaś podobnego materiału do *mimowolnego* krzewienia zdziczenia wara panom powieściopisarzom, chociażby nawet najpierszorzędniejszym.

Taki np. autor „Popiołów” całą potęgą swego niepospolitego talentu wymyśla długą litanję okropności, od których włosy na głowie powstają, gwoli estetyce gromadzi je i grupuje w odpowiedni sposób, wzbudzając przez to albo w samym sobie i w czytelniku, albo też tylko w czytelniku nastrój lubieżno-krwiożerczy o bardzo wysokim napięciu.

Inaczej traktował swe zadanie artystyczne w stosunku do okropności wojny noweliści rosyjski Garszyn. Jego twórczość w tej dziedzinie istotnie otrzeźwia ludzi, marzących o „bohaterstwach” i o „umieraniu za ojczyznę”, a otrzeźwia bez wzbudzania „nastrojów” niepożądanych. Estetyzm może na tym traci, ale korzyści etyczne pozwalają z lichwą powetować tę stratę. Jestto wprawdzie pogardzane przez estetów zanieczyszczanie sztuki obcemi jej tendencjami, ale ja pomimo to pozwalam sobie przyznać się otwarcie do tej herezji.

IX

Autor *Popiołów* z właściwym sobie mistrzostwem kreśli wspaniałe obrazy „czynów bohaterkich”, dokonywanych przez hordy najezdnicze w Hiszpanji, hordy, między którymi były także zastępy „obrońców ojczyzny” i „obrońców wolności” znad Wisły, Niemna i Warty. Ci „obrońcy ojczyzny” ćwiartowali i miażdżyli Hiszpanów, również „broniących ojczyzny”. Ci „obrońcy wolności” nie tylko dusili wolność obywatelską mieszkańców półwyspu Pirenejskiego, ale poniewierali w najbezpieczniejszy sposób najelementarniejszą godność ludzką tamtejszych mężczyzn i kobiet. Wszystko to wyziera z obrazów Żeromskiego z przerażającą jasnością. A stąd przy odrobinie logiki i dobrej woli otrzymujemy między innymi następujące wnioski:

1) że wielki wódz tych hord umundurowanych, ów opiewany przez Mickiewicza i tyłu innych poetów „bóg wojny”, ów „bohater legendarny”, ów Napoleon *Wielki*, przemieniając tysiące ludzi w krwiożercze i wszeteczne bestje, w młoty, druzgocące „bliźnich” na

miazgę, był zbrodniarzem w *n*-tej potędze i potworem moralnym, tak samo jak i inni jemu podobni kanibale i niszczyciele;

2) że „wojsko polskie” było zdolne do takich samych „czynów bohaterskich”, jak i wszelkie inne „wojsko” pod każdym stopniem szerokości i długości geograficznej;

3) że nie należy znów tak bardzo oburzać się na rozmaite „rzezie” przysłowiowe, jeżeli własni „rodacy” i przedstawiciele „*de la grrrande nation*” urządzali daleko okropniejszą rzeź Saragossy;

4) że mamy nierównie mniejsze prawo do potępiania Turków, znęcających się nad mężczyznami, kobietami i dziećmi Macedonji, jeżeli szanowni „rodacy” w jeszcze bezpieczniejszy sposób postępowali z mężczyznami, kobietami i dziećmi Hiszpanji;

5) jednym słowem, że wszelka wojna eksterminacyjna, chociażby nawet prowadzona przez własne rodzone wojsko, może wzbudzać tylko grozę, wstręt i obrzydzenie.

Że jednak powstawaniu w głowie podobnych wniosków towarzyszy skalanie wyobraźni, wywoływanie dzikiego nastroju krwiożerczo-lubieżnego i wogóle cofnięcie się człowieczeństwa do stanu przedludzkiego, więc owe wnioski otrzeźwiający zbyt drogo są opłacane.

A zresztą sama fatalność twórczości artystycznej przeszkadza utrwalaniu się podobnych wniosków. Nie można powiedzieć, że autor nie uświadamia sobie tych konsekwencji logicznych. Być może, iż nawet zgodziłby się na nie. Ale, jako powieściopisarz-poeta, traktuje on swoje zadanie wyłącznie artystycznie. Pod imponującym wpływem wspaniałych i uroczych obrazów „bohaterstwa” na polu walki i odczuwania „podniosłych nastrojów” owe ujemne wnioski i refleksje etyczno-polityczne powlekają się mgłą i prawie znikają bez śladu. A choćby nawet ślad z nich pozostał, to jednak nie ośmielamy się wypowiadać je jasno i otwarcie, bo przedewszystkim stoi temu na przeszkodzie mimowiednie i mimowolne apoteozowanie wojny i jej „boga”.

X

Gdyby ktoś sprotokółował sucho i urzędowo opisywane w „Popiołach „*czyny bohaterskie*” wojska polskiego i francuskiego, gdyby nazywał wszystko po imieniu, gdyby nawet używał brutalnych nazw dokonywanych przez zdobywców czynności fizjologicznych, to tym swoim suchym i bezbarwnym opisem wielu by odstręczył, a mógłby działać podniecająco tylko na nieliczną garstkę, i to zapewne w bardzo słabym stopniu. Jednakże przeciwko podobnemu traktowaniu tematu protestowalibyśmy energicznie; my bowiem pragniemy przytym użycia wszystkich świetnych barw, jakimi rozporządza twórca wyobraźnia artysty, i roztaczania przed czytelnikiem opisu, wspaniałego i rozpalającego.... no, a że jednocześnie denerwującego i szkodliwego dla zdrowia wielu małych, to już mniejsza z tym.

Nazywanie rzeczy po imieniu bywa często poczytywane za grzech i wykroczenie przeciw przyzwoitości. Przecież właściwa pewnym mężom uczonym „skromność” każe im wyrzucać wstydliwie ze słowników wszelkie „wyrazy nieprzyzwoite”. Przecież w towarzystwie osób „dobrze wychowanych” nie mówi się wcale ani o spodniach, ani o świniach, ani o bykach i ogierach. Jeżeli jednak przychodzi pierwszorzędny powieściopisarz i z całą siłą swego talentu roztacza przed wami wspaniałe i drgające życiem obrazy, wobec których błędna nietylko spodnie, nietylko świnię, nietylko byki i ogiery, ale nawet wszelkie wyrazy jak „najnieprzyzwoitsze”, to wszystko jest w porządku i nikogo nie razi. A przecież jestto sfera wyobrażeń, w której nawet mniej utalentowany może „porywać” i wywoływać „nastrój”; a cóż dopiero mówić o koryfeuszach literatury opowiadawczej!

XI

Zapewne nie wszystkim wiadomo, że tak zwane nieprzyzwoite objawy twórczości ludowej, — tj. piosnki wszeteczne, bajki, zagadki, przysłowia i t. p., w których bądź to wchodzi w grę pewne ukryte części ciała, bądź też znajduje upust brutalny erotyzm bez obślonek, — bywają zapisywane i wydawane p. t. *Kryptadia* w osobnych zbiorach z egzemplarzami numerowanymi dla amatorów i badaczy psychiki i twórczości ludowej. Otóż ja nie miałbym nic przeciwko temu, ażeby pewne części utworów powieściowych, w których ich autorowie z wielką siłą i mistrzostwem kreślą obrazy z dziedziny wyła-

dowującego się erotyzmu, w związku z napiętą do ostatecznych granic krwiożerczością, drukowano osobno, w egzemplarzach numerowanych, jako nadzwyczaj cenny materiał dla psychologów, dla psychiatrów, dla estetyków i historyków literatury. Oczywiście i ci badacze musieliby żyć się do tyłu z odbieranymi wrażeniami podniecającymi, ażeby być w stanie traktować je obiektywnie i analizować je z całym spokojem i rozumą. Wprawdzie odpadłaby wtedy zwykła utylizacja ekonomiczna tego rodzaju twórczości, jak również odpadłoby parę listków z wieńca sławy, oplatającego skronie powieściopisarza. W każdym jednak razie, jeżeli stosunkowo niewinne piosnki figurują w *Kryptadi'ach* literatury ludowej, to pewne sceny i obrazy z utworów powieściopisarzy i beletrystów mogłyby być prawdziwą ozdobą *Kryptadi'ów* literatury narodowej i wszechświatowej.

Zgoda zresztą na pozostawianie ustępów, wzbudzających nastrój lubieżno-krwiożerczy, w wydaniach książkowych danej powieści. Przy czytaniu książki wrażenie jednostronne od podobnych ustępów zaciera się poniekąd przez wpływ tego, co je poprzedza i co po nich następuje. Ale jeżeli jeden, dwa, trzy... numera gazety lub tygodnika są wypełnione wyłącznie takimi ustępami z drukującej się powieści, jeżeli odebrane w ten sposób wrażenia dają materiał do przeżuwania myślą w ciągu całych tygodni, to to, według mego zdania, równa się zamachowi na zdrowie i spokój czytelników. A ile to w tym obłudzie, jeżeli podobną metodą praktykuje czasopismo „prawowierne”, chcące uchodzić za „czytelnię domową i rodzinną”! No, ale pamiętajmy przecież, że tak tu, jak i gdzieindziej, rozstrzygają przedewszystkiem względy ekonomiczne. A trudno przecież wymagać, ażeby względy egoistyczno-pieniężne ustępowały przed względami altruistyczno-społecznymi. I chociaż fanatyczni zwolennicy absolutnej wolności sztuki protestują przeciwko jej krępowaniu i zanieczyszczaniu utylitaryzmem i tendencyjnością, to jednak okazuje się, że ten właśnie najzwyczajniejszy utylitaryzm bywa z konieczności decydującym czynnikiem w urzeczywistnianiu twórczości literackiej i artystycznej i jej uprzystępnianiu czytelnikom przeważnej liczby wydawnictw perjodycznych.

*

Wypisując te, niestety, arcy-nieudolne rozpamiętywania, nie powoduję się wcale pruderią (pruderią bowiem jest mi całkiem obcą), nie nawołuję do askezy. Przeciwnie, jestem tego zdania, że askeza religijna czyli ascetyzm pochodzi z tego samego źródła psychicznego, co erotyzm i krwiożerczość. Ja tylko konstatuje, że „literatura” czy też „sztuka” (co kto woli) może iść ręką w rękę z pewnymi instytucjami, związanymi z życiem *stadowym* ludzi, i do spółki z temi instytucjami krzewić zdziczenie lub też tylko kontynuować pierwotną, wrodzoną dzikość ludzkości.

Wniosków praktycznych nie wyciągam żadnych i na nikogo nie chcę oddziaływać, ale tylko, stwierdzając fakt niezaprzeczony, zapytuję:

Na co się zda cała walka z onanizmem, z wyuzdaniem młodzieży i staruszków, z prostytucją, z zamachami na cześć kobiecą, jeżeli rozwielniona poezja i beletrystyka, wchłaniana gorączkowo, a rozpalająca wyobraźnię i podniecająca nerwy, pcha do tego wszystkiego z całą siłą i rozpędem nieuniknionej fatalności i... krzewi zdziczenie?

*

Streszczam swój pogląd na wpływ literatury i sztuki lubieżno-krwiożerczej, na usposobienie i bezwiedne, mimowolne myślenie ludzi czytających i oglądających.

Przedstawianie halucjacji artystycznych z zakresu erotyki daleko posuniętej, oraz z zakresu namacalnych objawów „miłości bliźniego”, bądź to za pomocą środków sztuki plastycznej, bądź też przez ujmowanie ich w obrazach, wzbudzanych dzięki procesowi skojarzeń czyli asocjacji językowych, wywołuje częstokroć takie samo, a niekiedy nawet o wiele potężniejsze wrażenie, aniżeli sam widok zdarzeń i scen rzeczywistych. Wpływ dzieła czy też arcydzieła prawdziwego artysty może być daleko skuteczniejszy, aniżeli wpływ, z jednej strony, nagiej natury, z drugiej zaś, grubej pornografji lub też suchego opowiadania o czynach ludożerczych i morderczych. Gruba pornografja i suche opowiadanie mogą odpychać swą brutalnością i nagością i budzić wstręt w istotach subtelniej-szych, czulszych i wrażliwszych.

Dreszcz nerwowy, upojenie i wogóle „nastrój”, wywoływany dziełami sztuki, poruszającej tego rodzaju tematy, bardzo jest podobny do upojenia i „nastroju”, wzbudzanego za pomocą alkoholu, opjum, haszyszu i t. d.

Czy zaś upijamy się „siwuchą” w rymsztoku lub szynku, czy też szampanem w wykwintnym otoczeniu, to zupełnie wszystko jedno. Stopień upojenia zależy od ilości pochłoniętego alkoholu. A nawet pozwalam sobie twierdzić, że na ogół szampan jest o wiele szkodliwszy, aniżeli prosta gorzałka. Szampan ma pewien urok „poetyczny”, pociąga ku sobie nawet dusze „wyższe” i „podniosłe”. Szampanem chętnie upijają się nawet wykwintne damy, wystrojone i od zewnątrz i od wewnątrz z nieskazitelną wytwornością, te same damy, które od szynku i rymsztoku odwrócą się ze wstrętem, obrzydzeniem i pogardą.

A to, co ma urok, co wprawia w błogostan i „nerwy” i „duszę”, to również pociąga ku sobie z taką niepowstrzymaną siłą, że nie jest mu w stanie przeciwdziałać chociażby najgłębsze i najnaukowoje uzasadnione przekonanie o jego bezwzględnej szkodliwości. Wiadomo przecież, że niektórzy lekarze, doskonale zaznajomieni ze zgubnym wpływem środków podbudzających, nietylko że palą namiętnie, upijają się i t. d., ale także morfinizują się, przygotowując sobie przedwczesne stępienie umysłu, przedwczesną starość i przedwczesną śmierć. Wiadomo również, że wielu uczonych i ludzi „wyższych umysłowo” pomimo głębokiego przekonania o niesprawiedliwości społecznej i nieetyczności tak zwanej rozpusty, uprawiają jednak ten sport z wielką gorliwością, a pędzi ich ku temu pewnego rodzaju ciekawość i żądza odnawiania rozkosznych wrażeń i „nastrojów”. I wogóle potrzeba powtarzania wrażeń lubieżno-krwiożerczych jest potężnym czynnikiem społecznym, a raczej przeciwspołecznym, czynnikiem, współdziałającym bujnemu rozkwitowi i rozpanoszeniu się zdekadencja zezgniłoszenia i zdziczenia. Stądto między nami tylu *dzikich*, za nic nie będących wstanie oprzeć się choćby najlżejszemu pociągowi do odtwarzania w sobie w ten lub ów sposób wrażeń i „nastrojów” wprawdzie przyjemnych, ale zgubnych i niszczących organizm psychofizyczny człowieka.

Wydaje się z pewnością niejednemu wielkim zuchwalstwem, że ja, zwykły karzeł i pigmej, pozwalam sobie porywać się na olbrzymów literatury, poezji i sztuki, pomawiając ich o zgubny wpływ na czytelników i widzów. Istotnie zgrzeszyłem; biję się więc pokornie w piersi, powtarzam „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina” i zapytuję:

Czyż wobec wspaniałości i imponującej piękności pożaru nie powinny się wydać karlemi i ze stanowiska „estetyki” wysoce nagannymi wszelkie usiłowania, skierowane ku jego tłumieniu?

Czyż wobec olbrzymiego wrażenia i poetycznej soczystości powodzi należy zaniechać karlich wysiłków, dążących do stawiania jej tam, a nawet do jej absolutnego uniemożliwienia?

A nareszcie czyż nie napełniają nas „estetyczną” zgrozą i czyż nie dają nam wielkiego zadowolenia „estetycznego” masowe rzeznie ścierania się tłumów z tłumami, wybuchy lawy nienawiści międzystadowej z „wulkanów społecznych”? I czyż zadowolenie estetyczne od podobnych zjawisk powinno nam wystarczyć, czyż powinniśmy dać sobie pokój i wyrzec się wszelkich prób oddziaływania na jednostki, w celu uniemożliwienia albo przy najmniej znacznego osłabienia tych „majestatycznych objawów” gromadnie urzeczywistnianej „miłości bliźniego”?

Petersburg, grudzień 1903.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krzewiciele-zdziczenia>

Tekst opracowany na podstawie: Jan Niecisław Baudouin de Courtenay, *Krzewiciele zdziczenia*, Gebethner i Spółka, Kraków 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: \uz2020 David Gunter@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0139-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.